

LESZEK KWASEK

ur. 1933; Janowiec



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	projekt Archiwum Historii Mówionej - opracowanie i udostępnienie online najcenniejszych zasobów, życie codzienne, szkolnictwo, stancja, udzielanie korepetycji

Trafiłem do Lublina

Nigdy nie przypuszczałem, że będę szedł na studia. Ojciec był murarzem. Ja się żadnej roboty specjalnie nie bałem i uważałem, że jak skończę ogólniak w całości, to ja nie będę miał żadnego zawodu. No i w związku z tym, po dziewiątej klasie zacząłem się rozglądać za jakąś zawodową szkołą. A w domu mi mówili: „Ucz się. A co się będziesz uczył, to już jest inna sprawa. Żebyś tylko się uczył.” Chociaż początkowo to poszedłem do Kazimierza, żeby później sobie lepiej radzić w szkole średniej, a później nie miałem jeszcze wytyczonego tego kursu, że ja będę na studiach. A na studia się najlepiej człowiek dostaje po ogólniaku, wiadomo, bo on przygotowuje w całości. W tym czasie był nabór do szkoły chemicznej w Lublinie. To było technikum, Technikum Chemii Spożywczej, przygotowujące laborantów do przemysłu spożywczego, które na Lubelszczyźnie było, był też dość dobrze rozwinięty. Cukrownie, gorzelnie, browary, no i krochmalnie. I po prostu pojechałem do tego Lublina i się zapisałem. Nie pamiętam czy egzamin był, chyba świadectwo wystarczyło z tej dziewiątej klasy. I trafiłem do Lublina. Pierwszym moim miastem był Kazimierz, z Janowca się wtedy dostałem do wielkiego świata, który się nazywał Kazimierz Dolny, a później autobusikiem do Lublina. To był następny etap. Chociaż przyznam się, że w czasie okupacji pociągiem pojechałem do Warszawy, bo tam moja ciotka mieszkała i odwiedziłem wtedy, pamiętam, okupacyjną Warszawę. Także to jeszcze ten świat też widziałem. Pociąg widziałem, no i Warszawę czasów okupacji. Ale to tylko był taki krótki epizod. Natomiast później Lublin stał się moim miejscem, gdzie przez dwa lata uczyłem się, najpierw na ulicy Dymitrowa. A później nowa szkoła powstała przy Alejach Racławickich. To był taki olbrzymi kombinat szkół chemicznych, który przygotowywał całe armie ludzi do pracy. Ale w tej szkole nie dostałem ani stypendium, ani nie dostałem również internatu. To był wielki błąd, wtedy, kiedy to zrobiłem, bo napisałem że ojciec jest murarzem, w podaniu, bo napisałem, że mamy gospodarstwo, jakieś tam było. I to co było, ja napisałem. No i to

wystarczyło, że ja nie dostałem. Ponieważ ojciec nie był pracownikiem państwowym, był prywatną inicjatywą. Sam prowadził, sam był tym murarzem, sam sobie radził, że tak powiem, no i to mnie dyskwalifikowało. Mimo, że Janowiec był zniszczony niesamowicie, mimo, że się później to wszystko jeszcze spaliło. Ale ponieważ ojciec był sprawny o tyle, że pracował, dobrym był fachowcem, miał tę pracę ciągle, jakoś wiązał koniec z końcem. Czesne najpierw do Kazimierza trzeba było zapłacić, tak również później sobie radzić jakoś w tym Lublinie. Trzeba było wynająć stancję i trzeba było się utrzymać, wyżywić. Pamiętam, mieszkałem na Czechowie, na Wieniawskiej, na Okopowej. Ciągłe trzeba było zmieniać te miejsce, ponieważ szukało się miejsca tańszego, lepszego, bliższego. I na końcu mieszkałem u salezjanów na Kalinowszczyźnie. To była taka noclegownia dla takich właśnie jak ja, czyli ludzi, dzieci, które, nie dostały żadnej pomocy od państwa, tylko musiały sobie same radzić. Pamiętam, że trafiłem akurat na takiego wychowawcę, matematyka, który był repatriantem zza Buga, Eugeniusz Pelcer. Wspaniały człowiek. On był moim wychowawcą i matematykiem. I on mnie po prostu poratował, ponieważ byłem dobry z tej matematyki, miałem dobrze prowadzony zeszyt, a tak się złożyło, że tylko w pierwszym roku była matematyka, a w drugim już nie. W drugim już nie, bo to była fabryka laborantów, nie potrzeba było. My żeśmy opanowali matematykę bez całek i bez różniczek, tylko te wcześniejsze działy. To taki był wystarczający dla średnich szkół program. Ale ponieważ tam było dużo różnych uczniów takich, którzy wymagali pomocy, między innymi córka zastępcy dyrektora, pana Rakowskiego, miała kłopoty z tą matematyką. I ten profesor Pelcer, mój wychowawca, zaproponował, żebym ja udzielał jej korepetycji. Pamiętam, że ja mając ten zeszyt, cały ten program przerobiłem z tą [córka]. Na Świętoduskiej, czyli na Hanki Sawickiej wtedy, mieszkał ten pan dyrektor Rakowski i ja tam wieczorami przychodziłem i udzielałem lekcji. No i podobno jakoś tam skutecznie. Dzięki temu zarabiałem za tą lekcję dziesięć złotych. A obiad u zytek na Chmielnej kosztował dwa czterdzieści. I miałem na cztery obiady. Dzięki temu właśnie profesorowi mogłem funkcjonować.

Data i miejsce nagrania	2018-03-19, Janowiec
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski
Redakcja	Agnieszka Piasecka
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"